

Publiczność dochowała mi wierności

Nina Andrycz o sobie i teatrze STR. 14



Zdjęcie: B. J.

— W czerwcu 1934 roku otrzymała Pani, tuż po wystąpieniu na popisie absolwentów PIST-u, angaż do warszawskiego Teatru Polskiego Arnolda Szyfmana. Jeden z krytyków pisał wtedy, że dzięki Ninie Andrycz „dwie sceny z „Salome” (Wilde'a) przeniosły nas od jednego zamachu w sferę wysokiej sztuki i niepospolitego kunsztu aktorskiego”. Także później miała Pani świetną pracę, nie tylko w kraju, ale i na granicy. Nieomal każdy afisz najnowszej premiery w Teatrze Polskim zapowiadał Pani występ w roli wiodącej. Triumfalny pochód kobiet pięknych i władczych znaczyły role Szimeny w „Cydzie”, Lady Milford w „Intrydze i miłości”, Marii Stuart Słowackiego, Elżbiety Valois w „Don Carlosie”, Kleopatry Morstina, Lady Makbet. A dzięki Teatrowi Telewizji Pani Małgorzata z „Damy Kameliowej”, Anną Kareniną a przede wszystkim Dianą w „Psie ogrodnika” — mogła się zachwycać nie tylko Warszawa. Ale przecież nieobecne są Pani także role komediowe czy charakterystyczne. Wielkie kreacje aktorskie, które Pani stworzyła wymagały ogromnej pracy, absorbowały i pochłaniały „Jego tyrańska Mość Teatr nieznawidził rywali” powieści Pani w jednym z wierszy Czym jest dla Pani aktorstwo? Czy jest to azyl, czy spełnienie?

NINA ANDRYCZ: — W żadnym wypadku i nigdy nie było azylem. Gdybym się nie bała wielkich słów, których nasze społeczeństwo już nie

mi. Ież listów, dowodów sympatii, ile przyjaźni udało się zawrzeć poprzez odbiór tych czy innych ról. Przed wojną rekord pod tym względem pobiła Iwaszkiewiczowska Solange, a po wojnie chyba Maria Stuart, święta Joanna, może też Elżbieta Valois... Aktorstwo nauczyło mnie dużego zdyscyplinowania wewnętrznego, umiejętności koncentracji na aktualnym zadaniu twórczym, a nawet przezwyciężania własną dolegliwością czy chandry. Było nieraz autoterapią w ciężkich chwilach życia. Grałam np. w dniu śmierci mojej matki, bo o godzinie 7.30 kurtyna musiała pójść w górę.

— Czy od początku wiedziała Pani, że zostanie aktorką? A może równoczesne studia na Wydziale Humanistycznym UW i w PIST-cie były świadomą próbą poszukiwania innych form rozwoju osobowości?

— A oczywiście, że były. Wstępując do Szkoły Dramatycznej nie wiedziałam przecie, nie mogłam jeszcze wiedzieć co będę reprezentować swoją osobą na scenie. Zdecydowałam o tym, czy raczej dać przedsmak rozeznania mogły dopiero dalsze lata studiów i pracy. A zainteresowania psychologią i filozofią datują się też już od lat gimnazjalnych. Pierwszy rok studiów na Uniwersytecie Warszawskim dał mi same piękni, i to u wielkich sław naszej nauki: u prof. Tatar-kiewicz, u prof. Witwickiego. Tak długo jak mogłam fizycznie łączyć równoległe



Zdjęcie: Zofia Nasierowska

Z NINĄ ANDRYCZ
rozmawia
EWA GAŁĄZKA

Publiczność dochowała mi wierności

traw, powiedziałabym, że było powołaniem. A w jakim stopniu spełnionym... osąd nie do mnie należy. 50 lat pracy w rolach wiodących nauczyło mnie pokory wobec sztuki i szacunku dla moich widzów. To oni, wypełniając w przeważającej większości przedstawień, w których grałam — niekiedy 200 i więcej razy — dużą i małą widownię Teatru Polskiego, dali mi jakies poczucie spełnienia zamierzeń artystycznych. Tak, dopiero po latach można stwierdzić, że publiczność dotrzymała mi wierności, mimo zmieniającej się koniunktury i sytuacji życiowych... Zresztą sama Pani „widziała” spontaniczne reakcje słuchaczy na moim wieczorze autorskim w KMPiK-u na Saskiej Kępie.

— Rzeczywiście był nadkomplet, spóźnialscy tłoczyli się na korytarzu.

— Poza tym aktorstwo było dla mnie najbardziej dostępnym sposobem autointerpretacji, a także nawiązywania kontaktów z innymi ludź-

studia na dwóch wyższych uczelniach — poznawałam na Klakowskim Przedmieściu, a wruszałam się na Okólniku. Dopiero atak szału dyrektora Zelwerowicza i moja ostrą anemią położyły kres umiłowanemu wszechstronności, a może po prostu nadmiernym pragnieniom młodości. Wybrałam Szkołę, ale to wcale nie znaczy, że całkiem zaniedbałam psychologię. Jestem z rasy humanistów, dla których świat wewnętrzny człowieka i dzieje myśli ludzkiej nigdy nie przestaną być obiektem najwyższego zainteresowania. Czy zresztą mogłabym pisać lub myśleć twórczo o czymkolwiek, gdybym nie pragnęła czasem wyjść z teatru, a zwłaszcza z jego kulis?... — I to procentuje. Np. niedawno przeglądałam zapowiedzi wydawnicze krakowskiego WL, w których wydawca podkreśla piękny język wierszy mających się ukazać w trzecim tomiku Pani poezji, zatytułowanym „Rzeka Roz-

łaka”. Skoro jesteśmy przy poezji... na swoim wieczorze autorskim (i aktorskim oczywiście!) wyznała Pani, że role „królewskie” grane w teatrze nie pozwalały wydobyc wszystkim podskórnych nurtów drążących Pani psychikę. Czy te nie ujawniane uczucia znalazły dopelnienie w Pani wierszach?

— To bardzo trafne pytanie i sama nieraz się nad tym zastanawiam. Otóż nie ulga wątpliwości, że wszystkie role „królewskie” wykarmiłam własnym człowieczeństwem, temperamentem, takim a nie innym odczuwaniem świata. Ale dziś już wiem, że tym rolom były potrzebne przede wszystkim pewne określone cechy charakteru: ambicja, chęć podobania się mężczyźnie. Cóż dziwnego, że te cechy eksploatowałam w rolach kobiet władczych. Natomiast jakże wiele nie mniej szczególnych i intensywnych uczuć czy doznań siłą rzeczy spychałam na drugi plan psychiczny, albo i w mroki pod-

świadomości. Wszystko, co nie znalazło odbicia w tekstach ról, widać kumulowało się we mnie, czekało cierpliwie na swoją godzinę. I dopiero w wierszach doszła jej głosu tragiczna miłość, śmierć, ból przemijania... Długo się wahałam zanim wyciągnęłam pisane całe lata „do szuflady” wiersze. Dopiero spotkanie z Jarosławem Iwaszkiewiczem i jego pochlebna ocena mojej twórczości ośmieliły mnie, by zwrócić się do „Czytelnika”. Tomik pt. „To teatr” zniknął z półek księgarskich błyskawicznie.

— A ostatnie chyba egzemplarze tomiku pt. „Drugie spotkanie z diabłem” można było jeszcze kupić na wspomnianym spotkaniu z publicznością w KMPiK-u. Mówiła Pani wtedy, że maskowanie się jest przyrodzoną kondycją współczesnego człowieka. Czy to znaczy, że każdy mógłby zostać aktorem?

— W obecnej rzeczywistości każdy nolens volens. Jest

do pewnego stopnia aktorem. Oczywiście aktorem-amatorem. Przybiera często barwy ochronne, w tej czy innej konwencji gra swoją codzienność. Oczywiście, to wcale nie oznacza, że może być Marleną Dietrich.

— A jakie niebezpieczeństwa niesie ze sobą zawód aktora?

— Och, wielorakie! Depresję psychiczną z braku odpowiednich ról, zmęczenie z powodu nadmiernego grania nerwowo wyczerpujących ról, kabotyzm, narcyzm. Istnienie pośrodku niewidzialnych luster. Ustawiczne niezadowolenie ze swych osiągnięć. Nie wiem czy zwróciła Pani uwagę na arcysmutny wywiad „Sterna” ze wspomnianą przed chwilą Marleną Dietrich, która ni stąd, ni zowąd nazwała wszystkie swoje nakręcone filmy tylko kiczem i bzdurą.

— To smutne. A Pani role, role które przyniosły sukces i sławę, owe „heroiny dramatyczne”, rozdarte wewnętrznie, szarpane namiętnościami, czy kreowała Pani te postaci, aby utrzymać styl, czy dlatego, że łączyło je z Panią duchowe pokrewieństwo?

— Wielu krytyków pisało o moim stylu nie bardzo precyzując co to takiego. Jeżeli on nawet rzeczywiście istnieje w określonym typie ról, to jeszcze nie znaczy, że mu wiernie służę. Przeciwnie, bardzo lubię niespodzianki i płodozmiany...

— Chociażby niezapomniana „Gwiazda” Helmuta Kajażara w Teatrze Starej Prochowni, a ostatnio dyktatorka Valida Vrana.

— O właśnie. Muszę wyznać, że „heroiny romantyczne” dają wyraz mojej miłości do najgłębszego nurtu w naszej literaturze narodowej i osobiście są mi bliskie... Mój kuzyn Bolesław Miciński słusznie pisał, że bez względu na otaczający nas świat człowiek może się urodzić z tzw. temperamentem romantycznym. I wydaje mi się, że ma rację, sądząc z niektórych, zarówno zbiorowych jak i indywidualnych doświadczeń w polskiej rzeczywistości.

— Trzynaste lat temu nastąpiła zmiana Pani emploi. Jaki był stopień ryzyka?

— Maksymalny. Mogłam zniszczyć całą swoją aktorską legendę, którą już stworzył repertuar romantyczny właśnie, a... niczego nie zdobyć w zamian. Moja matka, która nie opuściła żadnej mojej premiery, tym razem oznajmiła, że nie pójdzie oglądać mnie w roli koiłunki, biegającej w brudnym szlafroku z trzepaczką w rękę.

— To aż tak?

— Owszem. A jednak kółtunka Dulaska miała ogromne powodzenie i pojechałam z nią na występy gościnne. Cóż — kto nie ryzykuje — ten nie ma. Więc zaryzykowałam. Potem przestałam się już bać postaci charakterystycznych.

— I nie utraciła Pani sympatii widowni...

— Tfu... Tfu... Odpukać. Istotnie jeśli miałam bolesne nieporozumienia z urzędnikami teatralnymi czy z narzuconymi dyrektorami, o tyle nigdy nie było konfliktu z publicznością. Wokół mnie i Teatru Polskiego zmieniano się przecież tak wiele... Ekipy rządzące, nastroje społeczne, „nakazy chwili”, a także mody. Ale mimo to publiczność dopisywała, w dalszym ciągu słała listy, a nawet żywo interesowała się moim życiem prywatnym.

— „Stoję przed gasnącym ołtarzem Apollina, który wkrótce splajtuje”, to cytata z Pani wiersza, czy zdaniem Pani kultura skazana jest na zagładę?

— Na zagładę nie. Chyba że ziemia przestanie istnieć, „co nie daj Boże”, jak mówią marksiści. Natomiast to, że literatura, teatr, film, pewne formy kulturalnego współżycia ludzi są zagrożone na całym świecie, a nie tylko w Polsce, niestety nie ulega wątpliwości. Mówi się o tym prawie otwarcie w TV, prasie, a nawet w raportach poszczególnych resortów. Wyczuwa się głębokie zaniepokojenie z powodu tandety zalewającej Europę i Amerykę. Obserwuje się pewne zdziwienie obyczajów we wszystkich prawie warstwach społeczeństwa. Naturalnie, że widz pijany czy narkoman może tylko popsuć innym odbiór wszelkich wartości kulturalnych. A siedzenie czy drzemanie przed telewizorem po kilku latach daje fatalne wyniki, bo stępia wrażliwość i ogłupia. Co mnie ostatnio szczególnie przygnębiło, to krótki / fragment relacji z przebiegu Ogólnopolskiej Konferencji Ruchu Pokoju, którą raz jeszcze zacytuje: „Dzieci, które oglądały w kinie Hiroszimę i głodujących w Etiopii reagowały śmiechem”. Wobec tej informacji perspektywa programowania poezji na komputerze nie jest jeszcze taka groźna.

— Podobno Interpress-Film nakręcił dokumentalny film o Pani życiu i twórczości, kiedy go ujrzymy?

— A żebym to ja wiedziała... Może w zimie?...

— Prowadzi Pani bardzo czynne życie świadczące o ciągłym poszukiwaniu: praca w teatrze, podróże, wywiady. Wydaje Pani kolejne tomiki poetyckie, jeździ na wieczory autorskie. Czy cytata z Pani wiersza „Ja najlepiej się czuję w drodze do —” można uznać za Pani dewizę?

— To chyba wynika z przeprowadzonej ze mną rozmowy. Całe życie byłam i jestem w drodze do... Zresztą dochodzenie do celu, w sztuce zwłaszcza, jest nieraz o wiele bardziej frańujące niż ewentualny rezultat.

— Myślę, że tym stwierdzeniem spuentujemy naszą rozmowę. Dziękuję, że pośród licznych zajęć znalazła Pani dla mnie i dla czytelników „Tak i Nie” chwile czasu, by móc podzielić się swoimi wrażeniami i odczuciami.

Dziękuję za rozmowę.